

PRZEDŚWIT

Leśna droga – w miarę przejezdna, choć tu i ówdzie zalegały wylomy po częstych w tym roku wiatrach halnych – raptem zwęziła się w ścieżkę. Tu już końskim zaprzęgiem byłoby nie sposób... Mieli więc rację sąsiedzi na Harendzie, którzy perswadowali, że do Ciemnych Smreczyn tylko na nogach! Ale ciężko się wspinać, gdy coraz stromiej i stromiej...

Idący przodem góral, słysząc sapanie podążającego za nim „gościa”, przystanął:

– To już niedaleko, panocku – przyglądał się uważnie zziąjanemu towarzyszowi wędrówki – odpoczniemy z pół godzinki na tej hali, napijemy się mleka. Kupię też sera, bundzu, może i żentycy, choć ona żołądkom ludzi z dolin nie służy! Trza być góralem, nie ceprem... Ach, czemu mówię, kupię? Pewnikiem dostanę za frajer, baca to mój zięć. Słowak. Cymu się dziwujecie, że Słowak? – zapomniawszy, że mówi do człowieka z dolin, przeszedł na gwargę góralską. – A dyc my syćka mamy cysarza Franza Józefa, a i Pon Bucek nom jedyn. Posidzimy tam kwilka w kolebie, oddychniemy, a potom dopiro rusymy w te cimne smrecyny jako barzo wam sie kce. Ba, to kumet drogi...

Kasprowicz siedział na szerokiej półce skalnej. Patrzył w dół za schodzącym góralem; w kosodrzewinie migały jeszcze białe portki, potem poruszały się już tylko gałązki.

Westchnął z ulgą. – Nareszcie jestem sam, tak najlepiej się pisze – spojrzął w niebo, ale na szczęście nic nie zapowiadało odmiany pięknej pogody. – Będę więc miał czasu, a czasu. Chociaż w górach, a szczególnie w Tatrach, to z kanikułą bywa różnie; odmienia się nieraz i w pięć minut.

Górala przewodnika odprawił z powrotem na halę, do tego gościnnego zięcia; gazda ma wrócić pod wieczór i wtedy razem rozpalą wiatrę. Pewnie przyniesie coś na kolację, więc tutaj zanocują, w doliny wrócą dopiero nazajutrz. – A obiad na dziś przecież mam: ser owczy, mleko, podplomyk, omasta też – upewniał się w myślach. – Bundz co prawda wyrzuciłem, bo baca odcedzał go przy mnie przez niezbyt czystą skarpetkę... A teraz nadszedł czas, by przelać na papier, co wymyśliłem po drodze.

Wyjął z bagażu przybory do pisania.

– „W ciemnosmreczyńskich upłazach” – zacznę. – „W upłazach” czy „na upłazach”?

Słowo rzadkie, lokalnie chyba tylko używane... Moje rodzinne Kujawy takich terenów nie

mają... Więc jak? Ach, Kazimierz Przerwa-Tetmajer stosuje tę pierwszą formę, pisząc: „w upłazach owiec zadzwięczą gromady”. Tak i ja napiszę.

Rozejrzał się wokół; górą prawie pionowa, naga ściana, a pod nią głązy, co się dawno oderwały: może przed rokiem, ale raczej ze sto lat temu... Jak nie wcześniej jeszcze... – Więc chyba lepiej będzie „W ciemnosmreczyńskich skał zwaliskach”? – zapisał kopiaowym ołówkiem.

Wolałby oczywiście pisać piórem, lecz wziąć kałamarza w góry nie sposób.

– Ach, kałamarz, kałamarz – zadumał się wracając myślami w przeszłość. – Ile to wspomnień wiąże się z tym na pozór banalnym przedmiotem... W czasach gimnazjalnych, gdy wyleciałem ze szkoły w Opolu i musiałem przenieść się do Raciborza, dane mi było zamieszkać u doktora Józefa Rostka...

Tego sformułowania „dane mi było zamieszkać u doktora Rostka” Kasprowicz używał stale. Nie wynikało to z literackiej kwiecistości, lecz gospodarz i opiekun zarazem był nie lada osobistością; sprawował funkcję naczelnika zdrowia publicznego na cały Górny Śląsk.

– To był wielki patriota – kontynuował rozmyślanie poeta – mimo, iż Niemcy umieścili go na liście osób „niebezpiecznych politycznie”, umożliwił mi organizowanie w domu zebrań tajnego kółka młodzieży polskiej. Dlatego właśnie zadedykowałem mu kiedyś wiersz, że „*Śród niewoli, śród ucisku, trzeba nam wiary w zbawienie...*” i jak to dalej było? Już nie za bardzo pamiętam; pisałem to koło 1880 roku, a zapomnienia zdarzają się często, gdy autor chce – po dłuższym czasie – udoskonalić własne dzieło. Wtedy strofy stare i nowe zlewają się w mętny – miejscami – amalgamat słów. Ale na pewno... tak, bez cienia wątpliwości, gdzieś potem wykrzyknąłem, by bracia Ślązacy podnieśli głowy do góry...

Machinalnie spojrział ku niebu, ale czarnych chmur nad Tatrami nie było. Po nieboskłonie płynęły małe obłoczki.

– Wracając jednak do tych kałamarzy, to doktor Rostek miał na biurku piękny egzemplarz z metalu i szkła, owalny, ze skórzanym obiciem i chyba podwójnym zapięciem, umożliwiającym bezpieczne przenoszenie atramentu – przypominał sobie Kasprowicz. – Ozdobę stanowił misternie wykonany wąż Eskulapa; był to więc może prezent od jakiegoś wdzięcznego pacjenta? Zobowiązanego, a zarazem zamożnego. Kiedy rysowałem grupę Laokoona, ten gad posłużył mi za wzór. Nie było to zgodne z mitologią, ale doktorowi Rostkowi bardzo się szkic podobał... Oprawił i powiesił w salonie.

Drugi jeszcze kałamarz kojarzył się Kasprowiczowi z Raciborzem, ale to wspomnienie miłe już nie było. Wręcz przeciwnie...

– Musiało się tak zdarzyć akurat w trakcie matury? – skrzywił się. – Wykryto właśnie... wykryto, nie wykryto, przecież nauczyciele dawno już dużo wiedzieli, reszty się domyślali ... „wykryto”, że „prowadzę wśród kolegów polską agitację” ... Tak Niemcy mówili. A kiedy pisaliśmy pracę maturalną z greki, podbiegł do mnie profesor Mühlenbach: „*Werden Sie nicht von selbst weggehen, so werden Sie mit der Polizei nach Ihrem Polen weggeschafft werden!*” Tak, lub jakoś podobnie, krzyczał... Co stało się później, to widzę jak przez mgłę; w każdym razie atrament z ławkowego kałamarza oblał Mühlenbachowi koszulę, spodnie... Pchnąłem ławkę, strącając wszystko, co na niej stało? A może rzeczywiście rzuciłem buteleczką z inkaustem? Lecz chyba nie w twarz nauczyciela? Byłem skrajnie zdenerwowany. Uczniowska legenda, jak zwykle w takich przypadkach, jednoznacznie przesądziła o skrajnej wersji wydarzeń. Tej ostatniej. Nie zaprzeczałem, bo brakowało pewności.

Kasprowicz poczuł dreszcz, jakby to wszystko zdarzyło się pięć minut temu. Ach, po co ja to sobie wszystko przypominam – już setny chyba raz – ale jakże trudno pozbyć się takich natręctw myślowych... Choć na różne sposoby próbowałem je wytłumić...

Odłożył ołówek, sięgnął po manierkę z wodą. Jednym haustem wypił prawie połowę.

– A jak coś do człowieka fama przyklei, to potem trudno odlepić – uspokajał się bardzo powoli. – Gdy mieszkałem u doktora Leona Czaplickiego w Inowrocławiu, to niby w tamtejszym gimnazjum też coś takiego się zdarzyło... Zresztą opowieści o uczniach rzucających kałamarzami, szczególnie w portret cara, dochodziły co jakiś czas zza kordonu... Z Królestwa, nazwanego teraz oficjalnie „krajem przywiślańskim” ... Narodowi potrzebne są historie ku pokrzepieniu serc, patriotyzmowi służą w znacznym stopniu mity. Powstanie Styczniowe niby je wygasilo; pozytywiści uznali, że dalej wierzyć przeciw ościeniowi się nie da, bo po każdym kolejnym zrywie było i jest coraz to gorzej... Więc należy nastawić się na pracę pozytywną: szerzyć oświatę – w miarę możliwości, jakie daje zaborca, lecz także i tajnie – zaś obok tego rozwijać przemysł. Dopominać się o uniwersytety, pielęgnować naukę, sztukę.

Ale przecież budowanie u obcych, to wznoszenie domu na piaskach; zabiorą pod byle pretekstem lub nawet dla rzeczywistych potrzeb, na przykład wojny. Mieliśmy ostatnio przykłady.

Więc musi zrodzić się nowe myślenie, młoda Polska. Może właśnie Kraków będzie naszym Piemontem – jak w jednoczącej się Italii – bo akurat tu, w Galicji, Franz Jozef poluzował? Przyjdzie jednak poczekać na polskiego Garibaldię...

Jeśli mój wiersz ma być o próchniejącej limbie – jako symbolu odchodzącego XIX stulecia – i krzaku dzikiej róży, wyrażającym to co nowe, w nadchodzącym za parę lat wieku dwudziestym, to stawy ciemnosmreczyńskie mogą być pawiookie. Do Tatr co prawda paw nie pasuje, ale pawie pióro jest nieodłączne ze strojem krakowiaka. Mógłbym więc zacząć:

*W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pąs swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska...*

Tak, „pąs krwawy” jak krew żołnierza, a „złomy szare” jak szare mundury! – pisał przecież Mickiewicz: „o wielką wojnę ludów modlimy się Panie”. Sto lat samotnych zrywów pokazało, że w pojedynkę udać się nie może... Niech pamiętają o tym Polacy nie tylko teraz, ale nawet przez przyszłych sto, dwieście lat, gdy przyjdzie zmierzyć się z Niemcami, Rosjanami, lub kimkolwiek innym.

Zaś ten krzak dzikiej róży:

*Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy...*

Samotny i zadumany, bo naród, co się jeszcze nie obudził, to jak zimna ściana... Więc kwiat może lękać się, ale tylko do czasu... W moim wierszu będzie jeszcze:

Cisza, o liście wiatr nie trąca...

Spojrzał w niebo i kątem oka dostrzegł na upłazkach pięć, może sześć kozic. Spokojnie jadły trawę, albo – prawdopodobniejsze na tych wysokościach – porosty. Zaś świstaki słysząc tu już było od samego rana pewnie! Przez stulecia łowione przez górali dla sadła, zachowały jednak ostoje w Ciemnych Smreczynach. Wiersz musi też wspomnieć o orłach, chociaż ich teraz tu nie ma, gdy z hal dochodzi woń dymu... Więc:

*Nadziemskich lotów ptak łakomy
Rozwija skrzydeł swych ogromy...*

A kolejna zwrotka, już prawie gotowa:

*U stóp mu bujne rosą trawy,
Bokiem się piętrzy turnia śliska,
Kosodrzewiny...?... Jakie słowo umieścić w tym miejscu?
Poobszywały głaźne ławy...*

Aby ukończyć, brakuje mi jednego, może dwóch słów: by było z sensem, nie zakłócało rytmu i rymu. Kosodrzewiny... kosodrzewiny...? Co dalej w tym wersie? Jakies słowo rymujące się ze „śliska”, bo „turnia śliska” ... Mam!

Chyba na drodze podświadomych skojarzeń, poeta przypomniał sobie Racibórz, kałamarnicę doktora Rostka z wężem, narysowaną przez siebie grupę Laokoona...

– Wężowiska! Tak, wężowiska! *Kosodrzewiny wężowiska...*

Zjadł obiad. Spóźniony, ale trudno było przerywać pracę, gdy sprzyjały muzy. – Wena, nie wena – pewnie na równi służyło kryształowe tatrzańskie powietrze – radował się w duchu. – Został mi jeszcze opis wieczoru. Dotychczas musiałem czas nadganiać, bo przyszliśmy tu z góralek spóźnieni, a teraz można się rozluźnić. Wsłuchać w odgłosy kończącego dnia, dla Tatr jedyne tylko! Zażyć nowych zapachów, nie skażonych cywilizacją...

Przerwał na moment, znów zachłysnął się miodnymi woniami tatrzańskiego lata. Sięgnął po kolejną kartkę i wznowił coraz sprawniej idące pisanie. Trzeba uchwycić tę jedyną w swoim rodzaju postać przyrody tu i teraz – chwilę, która już nigdy nie powróci.

Rozejrzał się wokół, spojrzął do góry i w dół, na piargi. Zamyślił się, poślinił koniec ołówka:

*A cichy powiew krople strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwałona wiewem burzy...*

– Słońce już się chowa za skałami, a górala jak nie ma, tak nie ma. Coś musiało go opóźnić? Trzeba więc samemu ogień rozpalić, na szczęście w dzieciństwie szło mi to nieźle, gdy z rodzeństwem pasłem krowy w Szymborzu. Kiedy szedłem do szkoły, musiałem młodszych braci nauczyć, by sobie beze mnie radzili. Nawet jak drewno mokre czy twarde. Przecież byłem najstarszy z całej czternastki!

Rozglądnął się wokół.

– Tutaj nie ma za dużo suchych gałązek, ale jest próchno z limby; potem już watra łatwo rozgorzeje.

Świetliste plamy i długie cienie głązów kładły się na ciemnosmreczyńskiej skale. Krzaku dzikiej róży nie było już widać, a czerwone próchno limby tylko chwilami wyzierało spoza dymnej kurtyny.

Kasprowicz wpatrywał się to w ogień, to w cienie. Jasny rój iskier podążał w stronę zapalających się dopiero gwiazd. Za dwie, trzy godziny rozjaśnieje nimi całe niebo, jak to w noc sierpniową, szczególnie w górach. Tym bardziej w Tatrach!

Znagła przypomniał sobie metaforę jaskini Platona. Myśl poczęła falować, początkowo ostrożnie, potem coraz śmielej. A może te cienie, plamy, obrazy, to jakaś wróżba na wiek dwudziesty, co nadchodzi? Losy świata, Polski? Teraz właśnie powstaje z ognia postać jakby jeźdźca na koniu, żołnierza... W mundurze szarym z dymu...

Oczy Kasprowicza zwilgotniały, zamglily się. Zasnął.

Gdy się ocknął, watra dawała jaśniejsze bodaj światło niż wieczorem. – Co u licha? – spałem parę godzin może, gałązek nie dorzucałem, a tymczasem...

– Nie dziwcie się, panocku – usłyszał niespodzianie z kosówki głos górala. – To ja podtrzymuję ogień przez pół nocy, gdyby misio jakiś przyszedł tu z Koprowej... Może nawet wyczuć ten bundz, coście go wyrzucili między kamienie. A czemu? – jedzenie trzeba szanować!

Góral zamilkł na chwilę.

– Wybaczta, że się spóźniłem, ale jakem zięcia żegnał, nadeszła córka. To znaczy się córka moja, a jego baba. W tym tygodniu sprzedawała kierpce na targowicy przy Pęksowym Brzysku. Miała być tam dwa dni, nocując u matki pod Gubałówką, a tymczasem towar poszedł tak szybko, że już wczoraj raniusko ruszyła do swego chłopa na halę... Nie widziałem jej parę

tygodni, więc trza było pogadać... Zięc otworzył też spiską borowiczkę, ale ja wypięm tylko ciut, jak widzicie... Lecz w drodze powrotnej będziemy znów przechodzić obok tej hali...

Przez skalną szczelinę wylaniała się słaba poświata. Czyżby nadchodził ktoś z zapaloną pochodnią? Lecz od strony Łomnicy zaróżowił się horyzont.

Dniało.

Marek Szczerbiński